

LAUDACJA Z OKAZJI JUBILEUSZU 80. URODZIN JANA PESZKA

Świętowanie dzisiejszego jubileuszu Jana Peszka to rzecz piękna i wzruszająca, ale zarazem nieco abstrakcyjna i niepojęta. No bo jakże to – Janek osiemdziesięciolatek? On – który jest nieustającym spełnieniem ideału aktora, sformułowanym onegdaj przez jednego z profesorów krakowskiej Szkoły Teatralnej i wyrażającym się w trzech atrybutach: głos-dzwon, słowo-perła, ciało-guma? On, który wciąż pozostaje w wyśmienitej, zawstydzającej o pokolenia młodszych kolegów formie, wywijający karkołomne układy choreograficzne – choćby w krakowskich „Dziadach” Mai Kleczewskiej, czego jestem zachwyconym świadkiem? On, wciąż po gombrowiczowsku dzieckiem podszyty będąc, wiek mentora osiąga i nieustannie nowe wyzwania podejmując, ciała i duszy nie oszczędzając, kpi sobie z metryki swej poważnej? Otóż czyni to właśnie, czego dowodem ten jubileusz, świętowany w dniu pierwszej próby nowego projektu warszawskiego Teatru STUDIO i krakowskiego Słowaka. Symptomatyczne, że ten spektakl w reżyserii Cezarego Tomaszewskiego będzie inspirowany „Królową Śniegu” Andersena. Pamiętając, jak zaczyna się ta baśń – a jednocześnie mając też w pamięci jedną ze sztandarowych uwag, jakie swoim studentom przekazywał młody pedagog krakowskiej PWST Jan Peszek, która brzmiała „Zrób to kompletnie odwrotnie” – wyobraziłem sobie uczniów **dobrego** czarnoksiężnika, którzy postanowili wynieść wysoko pod niebo skonstruowane przez mistrza ogromne zwierciadło, w którym nawet rzeczy brzydkie i niedoskonałe wydawały się piękne i zachwycające. Tak jak u Andersena lustro wypadło im z rąk i roztrzaskało się na miliony drobinek, które niesione wiatrami rozprzestrzeniły się po całym świecie wpadając ludziom do oczu i serc. Ci, którzy tego doświadczyli widzieli już zawsze świat i ludzi wokół siebie w najpiękniejszych odsłonach i kolorach. Większość tych lustrzanych drobinek spadła nad Italią, powpadały do oczu Michelangelo, Leonarda i Boticellego, ale jedna z nich po setkach lat podróży z całą pewnością znalazła się nad Szreńskiem, gdzie 13 lutego 1944 roku wpadła do oka nowonarodzonego Henryka Jana. I tkwi tam do dziś, niewypłukana przez łzy, które przecież wielokrotnie z tych oczu płynęły, nie zmatowiona przez troski i zło tego świata.

Bo też odkąd znam Jana Peszka, zawsze jawił mi się jako człowiek widzący świat i ludzi inaczej, bardziej kolorowo i pozytywnie. I pewnie dlatego każdy kontakt z nim, jako artystą, pedagogiem i człowiekiem przede wszystkim był i jest tak pożądanym przez partnerów scenicznych i filmowych, studentów, przyjaciół i znajomych. Gdy o pożądaniu mowa, nie sposób nie wspomnieć przy tej okazji Jego Gombrowiczowskiego Gonzala. Oj, biegło się na ten „Transatlantyk” po wielokroć, bo spektakl był fenomenalny, a Peszek zjawiskowy. To były jeszcze czasy, że kiedy na scenie pojawiała się postać o nieoczywistej orientacji seksualnej, przedstawiana była w sposób mocno przerysowany, z gruntu deprecjonujący i prześmiewczy, co wzbudzało zwykle kaskady śmiechu, by nie powiedzieć rehotu na widowni. Gonzalo Peszka był z innej materii utkany, wyprzedzał epokę, śmieszył, ale i przerażał, fascynował i zniewalał. Pamiętam, że gdy pierwszy raz zobaczyłem „Milczenie owiec” z genialną kreacją Anthony’ego Hopkinsa jako Hannibala Lectera, natychmiast przypomniał mi się Peszkowy Gonzalo. To był ten sam magnetyzm, jeszcze silniej działający na scenie niż na ekranie. I tak jak Hannibal zjadał swoje ofiary, tak Peszek-Gonzalo pożerał zarówno widzów, jak i swoich scenicznych partnerów, popijając ich wytrawnym Chianti. Ale nie czas dziś analizować jakże liczne wybitne kreacje Jubilata, warto raczej wyrazić radość, że ten nieistniejący, a jednak możliwy aktor instrumentalny został nam przez niebiosa zesłany, by swym istnieniem i instrumentalną perfekcją zawiązać nami na amen.

No i pomyśleć przez chwilę, coż on takiego w sobie ma, czym jest to coś, co daje mu taką siłę rażenia? W swojej sztuce „O rozkoszy” Maciej Wojtyszko umieścił scenę między Diderotem, goszczącym na dworze Carycy Katarzyny, a Potiomkinem, w której faworyt carycy pyta – cytuję z pamięci – „Cóż wy Francuzi macie takiego, że cały świat woli waszych malarzy, kompozytorów, krawców od naszych, którzy też przecież są wybitni? I Diderot odpowiada – „Wie pan, myślę że chodzi o lekkość”. Tak, jeśli miałbym w jednym słowie zamknąć kwintesencję Janka jako artysty i człowieka, byłaby to właśnie lekkość, która nadaje Jego technicznej perfekcji niebywałą wprost naturalność. Jeżeli dodamy do tego Jego erudycję, niespotykaną kulturę osobistą, błyskotliwość myśli i kocią zwinność ciała, być może zbliżymy się nieco do złamania kodu Peszka, ale nigdy nie osiągniemy pełnego sukcesu. Co najmniej dwie cyfry Jego PINu nie dadzą się wklepać w naszą klawiaturę, gdyż pochodzą jakby z innego systemu metrycznego. A na początku wszystkiego jest SŁOWO. Nie znam aktora tak operującego słowem, tak nad nim panującego. I to zarówno w wypowiedzianych

scenicznych kwestiach, od Mickiewicza po karkołomne łamańce Schaeffera, jak i w codziennej rozmowie, czy udzielanych wywiadach. Kiedy broniliśmy wolności sztuki i teatru po ataku prawicowych polityków i mediów na nasze „Dziady”, Janek kilkakrotnie wypowiadał się przed kamerami. Były to słowa bardzo mocne, ale przy tym niezwykle precyzyjne, bezlitośnie, a jednocześnie z wielką klasą dotykające czy nawet atakujące. Pomyślałem sobie wtedy, że nikt tak pięknie nie potrafi obrazić - nie obrażając, zmiażdżyć - nie dociskając, wchodząc w dyskurs z ludźmi niedouczonymi serfować na najwyższej fali polskiej frazy. No i jest jeszcze potężny powerbank, z którego czerpać może bez ograniczeń – Rodzina. Do dziś pamiętam tę skondensowaną Peszkową moc bijącą z muzycznego spektaklu BULA BULA, do którego miałem przyjemność pisać polskie teksty piosenek. Śpiewający razem z Jankiem: Teresa, Błażej, Marysia i Kasia wysysali z niego całe megawaty energii, jednocześnie oddając je w dwójnasób. Myślę, że tak jest do dziś, bo doświadczyłem tego na niedawnym koncercie Marysi, w czasie którego Janek razem z nią nakurwiał Zen. Pokażcie mi drugi taki duet na świecie.

Czego życzyć dziś Jankowi w tym, jako rzekłem, abstrakcyjnym dniu? Trudno coś wymyślić, bo mam uczucie że on wszystko ma. No więc niechże nigdy tego, co ma nie utraci, niech nakurwia Zen dla siebie, swoich najbliższych i dla nas, którzy nawet jeśli gdzieś tam z boku, to z nim. Nie tylko dziś. Sto lat Janie!

Rafał Dziwisz